

## Jan Maciejewski: Kwiecień. Troszcz się o ptactwo

Nigdy do końca nie rozumiałem o co Eliotowi chodziło z tym „najokrutniejszym miesiącem”. Dużo więcej racji wydawał mi się zawsze mieć Geoffrey Chaucer, w prologu do „Opowieści kanterberyjskich” – w tym miesiącu ludzi ogarnia „pragnienie zbożnej pielgrzymki”. Dokładnie takiej, w jakiej dzieci zmierzały w kierunku Aslana. Jedne czary mogą kończyć się tylko wtedy, kiedy pojawiają się jakieś nowe, silniejsze od nich – pisze Jan Maciejewski.

„Tylko posłuchajcie tego drozda!”

– C. S. Lewis, „Lew, czarownica i stara szafa”

Gdyby miesiące miały tytuły, tak jak rozdziały w książkach, pod nazwą kwietnia powinien widnieć napis „Czary zaczynają tracić swą moc”. Jak w „Lwie, czarownicy i starej szafie” C. S. Lewisa, gdy Aslan przybył już do Narnii a rodzeństwo Pevensie gna w jego kierunku co siłą, obserwując dookoła widome znaki upadku reżimu Białej Czarownicy, końca trwającej sto lat zimy.

Już dawno rozstali się z płaszczami i zmęczeni się już ciągłymi okrzykami w rodzaju: „Patrzcie! Zimorodek!” albo „O! Dzwonki!”, albo „Co tak rozkosznie pachnie?”, albo „Tylko posłuchajcie tego drozda!” Teraz szli w milczeniu, chłonąc w siebie to wszystko, przechodząc przez plamy ciepłego, słonecznego światła, a potem przez chłodne, zielone gąszcze, i znowu przez wyścielone samym mchem wysokopiennie lasy, pod zielonym dachem listowia wiązów, potem przez gęste chaszczki dzikich porzeczek i głógów obsypanych kwiatami, gdzie słodki zapach odurzał jak wino.

Wstyd się przyznać, ale nigdy do końca nie rozumiałem o co Eliotowi chodziło z tym „najokrutniejszym miesiącem”. Dużo więcej racji wydawał mi się zawsze mieć Geoffrey Chaucer, w prologu do „Opowieści kanterberyjskich” – w tym miesiącu ludzi ogarnia (albo przynajmniej ogarniać powinno) „pragnienie zbożnej pielgrzymki”. Dokładnie takiej, w jakiej dzieci zmierzały w kierunku Aslana. Jedne czary mogą kończyć się tylko wtedy, kiedy pojawiają się jakieś nowe, silniejsze od nich.

Heroldem tych ostatnich są bez wątpienia ptaki. Budzą się już przed czwartą. Nawet w takie kwietnie jak ten obecny, kiedy zima postanowiła zamarudzić dłużej niż zwykle. Ponad zmrożoną ziemią, czapami śniegu na dachach rozchodzi się ich śpiew. Wygłaszają swoje niezwykle ważne przesłanie, w języku, którego nie sposób zrozumieć i jeszcze trudniej zignorować.

Ptasia rodzina, jak każda, ma swoją „gorszą odnogę”. Ten sort krewnych, którego nie zaprasza się na uroczyste przyjęcia przy świecach. Na drodze niezauważalnie tylko uchyla się im czoła, tak żeby postronni przechodnie nie mogli się zorientować, czy rzeczywiście ich pozdrowiliśmy, czy tylko sprawdzaliśmy co też przykleiło nam się do buta. Każda Hiacynta ma swojego Powolniaka. Dla naszych rozśpiewanych, latających przyjaciół jest nim kura. Zwierzę, któremu Zbigniew Herbert poświęcił jeden ze swoich najokrutniejszych wierszy:

Kura jest najlepszym przykładem, do czego doprowadza bliskie współżycie z ludźmi. Zatraciła zupełnie ptasią lekkość i wdzięk. Ogon sterczy nad wydatnym kuprem jak za duży kapelusz w złym guście: Jej rzadkie chwile uniesienia, kiedy staje na jednej nodze i zakleja okrągłe oczy błoniastymi powiekami, są wstrząsająco obrzydliwe. I w dodatku ta parodia śpiewu, poderżnięte suplikacje nad rzeczą niewypowiedzianą śmieszna: okrągłym, białym, umazanym jajkiem.  
Kura przypomina niektórych poetów.

To właśnie kurom Tom Hodgkinson poświęca cały, kwietniowy rozdział swojego praktycznego poradnika gospodarzenia (czyli sztuki dbania o samego siebie), książki „Stary wspaniały świat”. Jakby chciał wynagrodzić im tę wielką niesprawiedliwość, jaka spotkała je ze strony przyrody, ewolucji czy może nawet samego Pana Boga. W miesiącu przesyconym pragnieniem zbożnej pielgrzymki przygląda się stworzeniom, które w kwietniu – dokładnie tak samo jak przez pozostałe 11 miesięcy roku – zajęte są tylko grzebaniem wokół swego najbliższego otoczenia w poszukiwaniu ziaren i resztek jedzenia.

Czy są takie czary, które imająby się również ich? Innymi słowy, czy w Narnii były mówiące kury? Oto pytanie godne kwietnia.

\*\*\*

Znalazła się w samym rogu ogrodu, skulona między głowami kapusty, zakryta krzakiem pomidorów. Jej obecności nie zdradzał żaden odgłos, było za ciemno by dopatrywać się śladów. To sama wydzielana przez niewielkie ciało atmosfera strachu i opuszczenia zwróciła na nią uwagę jej wybawicielki. Została delikatnie objęta, uniesiona i przytulona do drugiego, nie mniej drżącego ciała. Obie uspokajały się powoli, potrzebowały jeszcze chwili, żeby dojść do siebie. Miały ze sobą coś wspólnego – ani jednej, ani drugiej nie powinno tu być o tak później porze. Środek nocy to nie jest czas, w którym kury i młode dziewczyny mogą sobie bezkarnie biegać po świecie. O tej porze nie jest to dla nich bezpieczne miejsce.

Zofia rozpięła swój gruby, wełniany sweter i ukryła pod nim drżące stworzenie. Zaczęła nucić dziecięcą kołysankę; po chwili zdała sobie sprawę z tego co robi i głośno się roześmiała. Na gołe stopy miała nałożone sandały, tak że chodząc po krótko ściętej trawie nie zamoczyła nóg, ale odczuwała chłód unoszący się z ziemi. Cały czas tajała po zbyt długiej zimie, pozbywała się zimna, które zdążyło wgryźć się w nią, jak choroba w ciało. Teraz, kiedy z powrotem wydostawało się na powierzchnie, nie było już zimnem śmierci, tylko wilgocią, życiem. Za dnia nie wolno byłoby jej poruszać się tak powoli, bezcelowo. Chodzi się po coś albo z czymś, nie tak po prostu. Znała dobrze ścieżkę, którą

szła, po całym tym ogrodzie mogłaby chodzić z zamkniętymi oczami, robiła to nie raz. Ale w tej chwili była w jakimś nieznanym sobie, tajemniczym miejscu.

Coś takiego już jej się kiedyś zdarzyło. Miała wtedy cztery, najwyżej pięć lat. Jej matka prała dywany – leżały na trawie, odwrócone na drugą stronę, wierzchem do ziemi. Zapamiętała zapach mydła i odgłosy uderzeń, stłumione pacnięcia, rozbryzgujące się kropelki wody, fruujące bańki mydlane, za którymi jej siostry biegały po całym podwórku próbując złapać je na rękę, tak żeby jednocześnie nie pękły. Co oczywiście nigdy się nie udaje, ale dzieciom nie wolno tego mówić. Zosia nie przyłączała się do tej zabawy. Stała nieruchomo, wpatrując się w schnący na ciepłym, wiosennym słońcu spód dywanu. Splątane nici z których jej wyobraźnia nie mogła odtworzyć ani jednego kształtu spośród tak dobrze jej znanych. Tych, w które jeszcze nie tak dawno wpatrywała się raczkując, które były – w zależności od dnia i nastroju – zniekształconymi twarzami potworów, mapami nieznanych światów, wyspami i chmurami. Miała na temat tych czarno – czerwonych, nakrapianych zielonymi i żółtymi plamami kształtów ułożone w głowie setki historii. A teraz patrzyła na to, z czego wszystkie one były zrobione. Jakieś niezrozumiałe sploty. Skołatunione chmary barw. W pierwszej chwili się przestraszyła, ale potem zamknęła oczy, wciągnęła głęboko ostre, wczesnowiosenne, pachnące mydłem powietrze i trwała w uroczystej ciszy. Aż jej starsza siostra nie wpadła na nią w pogoni za wyjątkowo dorodną bańką. Nawet to nie wyrwało Zosi z cudownego nastroju, w jaki wpada się wyłącznie w chwilach dokonania ważnego odkrycia. Od tamtej pory nigdy nie stąpała do końca twardo po ziemi.

Tej nocy spotkało ją coś podobnego. To zasługa – ta myśl wydała się jej strasznie głupia i pociągająca jednocześnie – schowanej pod swetrem kury. – Będziesz moja przewodniczką? – spytała zaglądając pod sweter, we wciąż zdezorientowane oczy zwierzęcia. – Wyjaśnij mi coś – kontynuowała, teraz już patrząc i idąc przed siebie - Mówią o was, że nie umiecie latać. A ja myślę, że to nieprawda. Wam się zwyczajnie nie chce. Jesteście okropnie leniwe, ot co. – Wyszła z ogrodu warzywnego, zmierzała teraz w kierunku sadu. – Gdyby tylko jedna z was poleciała, wszystkie zaczęłybyście to robić. Z zazdrości i dumy. To byłaby wielka chwila w historii kur. Ten lot stałby się dla was wszystkich nowym początkiem. Wystarczyłoby zatoczyć jedno koło w powietrzu, nie za wysoko, tak żeby żadna nie miała wątpliwości, że to jej siostra, taka sama jak ona. I że nic nie stoi na przeszkodzie, żeby samej wzbić się w powietrze. Latałybyście całymi kluczami. Mogłybyście mieszkać gdziekolwiek chcecie. Byłybyście wolne. Jak ptaki. A nie tylko robaki i ziarno. Wstydziłabyś się.

Dziewczyna wpadła w szczerzy gniew, czuła żal do kur. Jakby ją samą zdradzały tym swoim lenistwem i ciasnotą horyzontów. Widziała je już latające całymi kluczami po niebie, może nawet wracałyby teraz do nich z jakiegoś ciepłego kraju. Poczła nieruchomy, ciepły ciężar chowanego pod swetrem stworzenia i zrozumiała, że jutro znowu będzie chodzić ze spuszczoną głową, w poszukiwaniu czegoś do zjedzenia. Jeszcze wczoraj nie miałaby im tego za złe. Ale od tamtej pory ktoś wtargnął w jej życie. Ktoś przez kogo dzisiaj stanowczo za późno wróciła do domu. Razem z nim pojawiła się obietnica, zaczęło się w niej jakieś wielkie oczekiwanie. Chciała, żądała wręcz tego, żeby ktoś je z nią podzielił. Przyłączył się do niej, najlepiej wytłumaczył na co tak niecierpliwie czeka. Nie czego oczekuje od tego chłopca. On

nawet nie był do końca ważny. Był tylko posłańcem. Gdyby tą samą wiadomość przyniósł ktoś inny, patrzyłaby na niego dokładnie tak samo.

Jej stan można by opisać jako najbliższy głodu, ale pozbawionego egoizmu przetrwania. Nie chodziło o zdobycie pożywienia, dostarczenie organizmowi pożywienia. Chciała uczyty, nie jedzenia. Święta, a nie okazji do świętowania. Myśląc o tym wszystkim minęła sad, szła ścieżką wzdłuż zagonu ziemniaków. Powoli zbliżała się do kurnika. Kiedy stanęła przed niskim, niewiele wyższym od niej budynkiem uderzyła ją straszna myśl. – To nasza wina. To my wam to zrobiliśmy. Jesteście takie, bo takimi was potrzebujemy. Gdybyście latały, nie można by was utrzymać na miejscu. Niosłybyście jajka w gniazdach, na szczytach drzew, a nie w zasięgu ręki. Jesteście ptakami, które za długo żyły obok człowieka, żeby się do niego nie upodobnić. Straszne. Co myśmy narobili?

Otworzyła drzwi kurnika, włożyła zwierzę delikatnie do środka, starając się na nie nie spojrzeć i pobiegła do domu.

\*\*\*

Od tamtej chwili minęło sześćdziesiąt lat. Chłopiec stał się jej mężem, ojcem jej dzieci, dziadkiem jej wnuków. Był dla niej dobry, a co najważniejsze – zachował w sobie tą samą, początkowo nieśmiałość. Jakby zawsze stawał się w jej towarzystwie trochę zawstydzony. Nigdy wystarczająco pewny, żeby przestać się zastanawiać, co ona sobie o nim w danej chwili pomyśli. Nawet ostatniej nocy przed swoją śmiercią,

kiedy rozlewająca się w jego żołądku krew wykrzywiała mu twarz z bólu, cały czas pozostał na niej ślad tej samej, początkowej niepewności.

Może to właśnie, a może jeszcze coś innego sprawiło, że nigdy do końca nie zatarło się w jej pamięci wspomnienie dziecinnych odkryć. Przywoływał je zawsze zapach mydła i chłód pierwszych, wiosennych nocy. Oczekiwanie nie zniknęło, z czasem tylko zamieniło się w niepewność. Nie udało jej się go nazwać, jednak nigdy w nie nie zwątpiła. Nie dzieliła się też z nikim swoimi wątpliwościami i domysłami. Czasem tylko mówiła dziwne rzeczy, które sprawiały, że ludzie dookoła niej milkli z zakłopotaniem, a jej mąż spoglądał na nią z jeszcze większą czułością i lękiem niż zazwyczaj. Zapominała się najczęściej podczas pracy w ziemi, która zawsze wprawiała ją w rodzaj trzeźwego, pogodnego transu. Zapach wilgotnej ziemi, jej chłód – zwłaszcza na wiosnę – przypominał jej nocny spacer sprzed lat. Wpadała w odświeżony nastrój, którym chciała się podzielić – no bo w końcu kto świętuje samotnie? Zadawała pytania w rodzaju: Jak myślicie, w jakiego boga wierzą mrówki? Albo – czy dżdżownice są lubiane tam u siebie, pod ziemią? I – pająki są takie nieprzyzwoite. Noszą całą swoją maszynę na wierzchu. Jak im nie wstyd, naprawdę. Z czasem przyzwyczajono się do jej dziwactw, a na starość zupełnie przestano zwracać na nie uwagę. Uznano nawet, że są dość sympatyczne. O wiele bardziej niż inne, potencjalne objawy demencji.

Dopiero wtedy, tak jak w młodości, zaczęły się jej przydarzać bezsenne noce. Wcześniej chodziła spać – jak to się mówi na wsi – z kurami, a więc bardzo wcześnie. Tamtej nocy otworzyła okno i oparła twarz o framugę. Wsłuchiwała się w szum rzeki. Wpatrywała w rozpoczynający się za nią las. Zdarzało się często, że przychodziły stamtąd do jej sadu

sarny i jelenie. Składała im wówczas królewski ukłon i pytała, jak się mają sprawy za rzeką. W odpowiedzi dochodziły do niej odgłosy chrupania jabłek i ciche parsknięcia. Ale dziś nikt stamtąd nie nadchodził. Za to tuż pod oknem Zofii stała nieruchomo, wpatrując się w nią uważnie kura. Zupełnie inna od tamtej, sprzed lat. Nie była wystraszona, choć przecież musiała zdawać sobie sprawy, że o tej porze nie ma prawa tu być.

– Czy byłabyś uprzejma... Może rozważyłabyś... – Zofia nie wiedziała, jak ma do niej mówić. Płatał jej się język, ale kura wydawało się rozumieć. Odwróciła się i zaczęła iść w kierunku rzeki. W tamtym miejscu ziemia opadała stromo w dół. Zwierzę biegło z całych sił, tak że wydawało się, iż już zaraz wpadnie do wody i utonie. I właśnie w tym momencie zerwała się do lotu. Poszybowała ponad koronami drzew, ale nie zawróciła nad dom ani gospodarstwo. Pewnie bała się, że ktoś ją zobaczy.

Nad ranem znaleziono Zofię z głową opartą o framugę okna. Jej pomarszczona twarz była już zimna, choć wciąż uśmiechnięta. Zniknięcie jednej z kur zauważono, dużo później, dopiero kilka dni po pogrzebie. Zgodnie stwierdzono, że to wina lisa, który pojawił się jakiś czas temu w okolicy. Po czym wszyscy wrócili do swoich spraw.

*Jan Maciejewski*